

# NAJWAŻNIEJSZA JEST PRZYGODA

Z Justyną Balcewicz rozmawia Monika Ślizowska

**Monika Ślizowska:** Jesteś socjolożką, specjalistką do spraw rodziny; prowadziłaś blogi, w pracy piszesz dużo tekstów specjalistycznych. Literacko zadebiutowałaś dwa lata temu, od razu pokazną powieścią dla młodszej młodzieży. Jaka była twoja droga do tworzenia literatury?

**Justyna Balcewicz:** Chęć pisania chyba zawsze we mnie była. Uwielbiałam język polski, kochałam wypracowania – mogłam ich pisać dużo i długie (*śmiech*) – podobnie prace na studiach. Więc to we mnie tkwiło, chociaż przez długi czas nie miałam odwagi, nie wiedziałam, co miałabym pisać. Bardzo długo szukałam inspiracji i to pewnie był mój problem. Na pewno szukałam większego tematu, bo nie jestem fanką krótkich form, nie przepadam za opowiadania, więc wiedziałam, że jak już zacznę pisać, to od razu od czegoś większego, co chyba jest rzadko spotykane. Zawsze wydawało mi się, że historia musi być porządna, obszerna, żeby bohaterów można było poczuć; żebym ja mogła ich poczuć, rozwinąć; żeby coś więcej zdążyło się wydarzyć.

**M. Ś.:** Kiedy nastąpił przełom? Kiedy udało ci się odkryć własny głos?

**J. B.:** W końcu, chyba pod koniec studiów, trafiłam na poradę, że gdy się szuka tematu, najlepiej rozglądać się za nim w swoim otoczeniu. A ponieważ miałam dziadka, który

uwielbiał opowiadać nam różne niestworzone historie ze swojego życia, pomyślałam, że zacznę właśnie od niego. Pojechałam do dziadka, przeprowadziłam z nim bardzo długi wywiad, nagrałam go, zrobiłam transkrypcję – co teraz jest świetną pamiątką w naszej rodzinie i wszyscy chętnie do niego wracają, gdy dziadka już z nami nie ma. Dlatego gdziekolwiek jestem na spotkaniu, wszystkim radzę, żeby nagrywali swoich rodziców, dziadków, bo to świetna sprawa: móc później jeszcze raz usłyszeć ten głos, te opowieści.



Justyna Balcewicz rozmawia z czytelniczkami na Targach Książki w Krakowie w 2019 roku.

Na podstawie rozmowy z dziadkiem napisałam dość długą historię (na razie jest w szufladzie, jeszcze nieskończona...), i to chyba ona mnie odblokowała. Drugim pomysłem była już *Szkola dyrektora Dreamera* – coś, co udało mi się skończyć, wysłać do wydawnictwa, opublikować...

**M. Ś.:** Powiedzmy więcej o tej książce: opowiada o eksperymentalnej szkole na wyspie,

stworzonej przez intrygującego nauczyciela mentora, stawiającego na naukę poprzez doświadczenie. Jego uczniowie, grupa dzieciaków z 14-letnią Liz na czele, biorą udział w oryginalnych zajęciach. Skąd wybór akurat takiego tematu? Motyw nietypowej edukacji – jedna z bohaterek ma nauczanie domowe – pojawia się też w kolejnej książce, nad którą pracujesz. To ważny dla ciebie temat?

**J. B.:** Trochę wynika to z faktu, że moja mama jest nauczycielką, więc tematy szkolne zawsze pojawiały się w naszym domu, były mi bliskie. Mama oczywiście trochę przynosiła szkołę do domu: z jednej strony dużo niesamowitych historii, ale z drugiej również mnóstwo frustracji wynikających z systemu edukacji, który jest sztywny. Ten system czasami nie daje uczniom możliwości rozwijania się, a nauczycielom – wprowadzania nowych metod nauczania, tylko zamyka ich w ciasnej podstawie programowej, która musi być realizowana pod testy, a te z kolei też mają narzuconą strukturę. Brakuje możliwości pójścia za tym, co uczniom gra w duszy. Więc tak, motyw edukacji jest dla mnie ważny. W ogóle uważam, że literatura pozwala „z boku”, obok przygody, poruszyć ważny temat. W *Szkole...* to była edukacja, a moja nowa książka obok intrygi kryminalnej przemycą wątek dbania o zwierzęta domowe, wykształcenia na nie wrażliwości. To ważne, by w literaturze dziecięcej i młodzieżowej przemycać istotne motywy, by wzbudzać dyskusje.

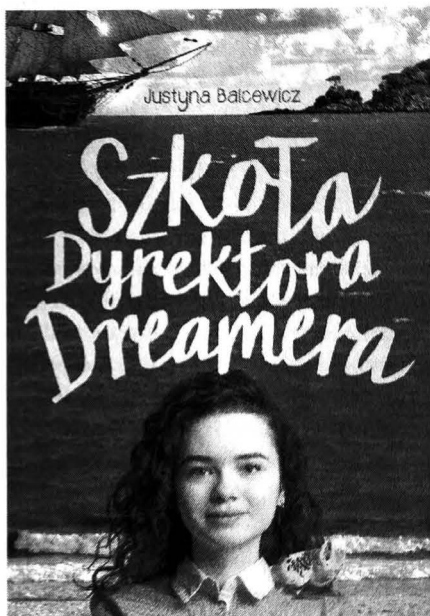
**M. Ś.:** *Szkola...* już pewnie dyskusje wzbudziła?

**J. B.:** Dużo koleżanek mojej mamy z pracy przeczytało tę książkę i rzeczywiście wzbudziła wśród nich dyskusje. Na spotkaniu autorskim w szkole rozmowa z uczniami – o bohaterach, ich losach, przygodach – to była jedna rzecz, a dyskusja w pokoju nauczyciel-

skim – druga, i tam się działo! Pojawiły się nawet głosy, że książka powinna zostać wysłana do ministerstwa edukacji (*śmiech*). Dobrze, gdy książka wywołuje dyskusje nie tylko wśród swoich głównych odbiorców.

**M. Ś.:** Czy łatwo było ci ich wybrać? Wiedziałaś, dla kogo chcesz pisać?

**J. B.:** Chyba zawsze wiedziałam, że dla dzieci, nastolatków. Przez długi czas, chyba ze 12–13 lat, już od końca szkoły średniej, pracowałam z dziećmi jako animator zabaw



na różnych imprezach. To zbliżało mnie do świata dziecięcego – wymyślaliśmy różne zabawy, co chwilę coś nowego, wymagało to kreatywności, także tworzenia atmosfery baśniowości. Zawsze mnie to bardzo pociągało: ta autentyczność, z którą dzieciaki w to wchodzi i potrafią się w wyobrażonym świecie odnaleźć – to dla mnie magia i dlatego celowałam w tę grupę. Mam zresztą wrażenie, że to najwdzięczniejsi czytelnicy...

**M. Ś.:** ... ale i najbardziej wymagający. Potrafią nam wytknąć wszystko, co uznają za nieprawdziwe, nieautentyczne.

**J. B.:** To prawda.

**M. Ś.:** Ale twoja wizja w *Szkole...* najwyraźniej zadziałała! Młoda recenzentka pisma „Victor Junior” napisała: „do takiej szkoły biegłabym w podskokach!”. Powiedzmy też o tym, że powieść została dostrzeżona w Wielkiej Lidze Czytelników – konkursie mającym na celu zachęcenie dzieci do czytania – i wybrana na książkę finałową. Uczniowie klas 5–8 musieli ją przeczytać, a potem odpowiedzieć na wiele szczegółowych pytań o jej fabułę. Byłaś na finale i spotkałaś się z uczestnikami konkursu. Jakie odniosłaś wrażenia z tego spotkania?

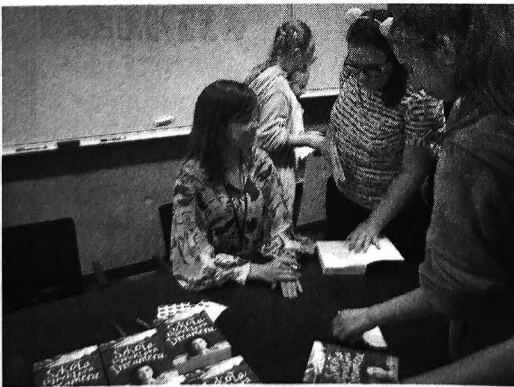
**J. B.:** Było to dla mnie niesamowite doświadczenie, bo nie wiedziałam, że to będzie takie duże spotkanie. Czekałam na czytelników w wyznaczonym miejscu i przez pierwsze 40 minut nikt nie przyszedł, a ja nie wiedziałam, co się dzieje – czy nikomu się nie spodobało, nikt nie chce porozmawiać...? Ale potem nagle przyszło chyba 70 dzieciaków i okazało się, że chcą ze mną rozmawiać! I dokładnie,

to bardzo wymagający czytelnicy, którzy wytropią wszystkie potknięcia – do tego stopnia, że poczułam się aż przyparta do muru i musiałam odpowiadać na bardzo docieklive pytania. Ale przeważające było poczucie, że weszli w świat opowieści, że bardzo im się podobała i bohaterowie książki wiele dla nich znaczą – wręcz mieli życzenia, co miałyby się dzieć w kontynuacji! Takie momenty dają mnóstwo energii, gdy po twarzach dzieciaków widać, że historia autentycznie je wciągnęła. To wielki kop energetyczny dla autora, który długo przecież pracuje sam, tylko z laptopem, w czterech ścianach, i nie wie, czy komuś jego praca się w ogóle spodoba...

**M. Ś.:** Wróćmy do twojej sfery zawodowej: zajmujesz się sztuczną inteligencją i rozwojem kompetencji potrzebnych na rynku pracy przyszłości. Czy według ciebie czytanie, śledzenie historii może pomóc w zdobyciu takich kompetencji?

**J. B.:** Może, nawet bardzo. W swojej pracy zajmuję się właśnie nie kwestią techniczną, ale analityczną: obserwuję trendy na rynku, czytam raporty światowych organizacji. Bardzo dużo mówi się w nich o tym, że dzisiejsze dzie-

ci w przyszłości będą pracować w zawodach, których jeszcze nie znamy i nie potrafimy sobie nawet wyobrazić. Mówi się wiele o kompetencjach twardych, ale też, że będzie to czas dla humanistów, dlatego że czynności powtarzalne będą mogły wykonywać maszyny. Jeśli maszyna będzie mogła napisać kod, to praca programisty nie będzie już tak potrzebna. Natomiast cechy, w których humaniści dobrze się czują – komunikatywność, wrażliwość, empatia – to jest to, czego maszyny nie potrafią i nie będą potrafiły jeszcze przez dziesiątki lat,



Justyna Balcewicz rozdaje autografy w trakcie Wielkiej Ligi Czytelników w 2019 roku.

jak mówią eksperci. Więc wrażliwość, empatia w stosunku do bohatera, to, że możemy wejść w czyjeś buty, uruchomienie wyobraźni, kreatywność, których wymaga czytanie i które się przy nim wytwarzają, to kompetencje, które w przyszłości pomogą dzieciom odnaleźć się w świecie. Dzięki nim najwyczejniej nie dadzą się zastąpić maszyną.

**M. Ś.:** Jesteś też z wykształcenia specjalistką do spraw rodziny, a w swoich książkach w tle przygody zarysowujesz relacje rodzice – dzieci. Niektórzy rodzice, nauczyciele u ciebie pozwalają dzieciom nieskrępowanie się rozwijać, stawiają na ich kreatywność, towarzyszą w rozwoju. Inni są zajęci głównie wielogodzinną pracą i zwyczajnie nie mają dla nich czasu.

**J. B.:** Słyszę często, że to jest problem naszych czasów: zajęci rodzice pracujący do późna, dzieci jeżdżące na mnóstwo dodatkowych zajęć, ciągle się doksztalające. Chyba to moje życzenie, żeby rodziców oraz nauczycieli mentorów, którzy towarzyszą dzieciom w rozwoju, było jak najwięcej – to skarb, gdy się na takich trafi. Miałam szczęście spotkać kilku bardzo zaangażowanych nauczycieli i mam szczęście, że mam wspierających rodziców. Ale tak, wiecznie zajęci rodzice to współczesny problem, stąd pojawiają się w książkach. Gdy piszę, staram się zresztą pokazywać różne rodziny: i takie, w których spędza się razem czas, i z rodzicami „korporacyjnymi”, i rozbite. To chyba mój socjologiczny wręt – patrzę na różnorodne społeczeństwo i staram się je odzwierciedlić, co też pomoże czytelnikom w różnych sytuacjach życiowych odnaleźć się w książce, utożsamić z bohaterem.

**M. Ś.:** Twój młodzi bohaterowie, z *Liz ze Szkoły...* na czele, czasem biorą sprawy w swoje ręce, np. podejmują decyzję o ucieczce ze statku, wykradają mapę. Czy element samowolki jest konieczny do rozwoju?



**J. B.:** To raczej element przygody, który interesuje czytelników, coś, czego na co dzień nie robimy. Jeżeli bohater książki wykonuje zadania, które wymagają większej odwagi, to chcemy o tym przeczytać, bo nas to pociąga. Nastolatki często sprawdzają, ile mogą zrobić, jakie granice przesunąć, stąd chętnie czytają o takich przygodach. Ale nie uważam, że do rozwoju konieczne jest robienie czegoś niepokornego.

**M. Ś.:** Natomiast poznawanie siebie już tak? W *Szkole...* dyrektor Dreamer daje uczniom talizmany mówiące o ich cechach i koszulki z hasłami motywacyjnymi, naprowadza ich tylko, by sami odkryli swoje mocne strony. To ma pomóc uczniom wybrać projekt, który zrealizują na zaliczenie semestru.

**J. B.:** Tak, chciałam pokazać tę drogę oraz nauczanie wykraczające poza ramy. Mamy nauczanie przedmiotowe, ale mnóstwo zawodów potem nijak się do tego ma. Projekty, które uczniowie Dreamera wykonują na zaliczenie semestru – mogły być związane m.in. z modą, rzemiosłem – wymagają konkretnych umiejęt-

ności, planu pracy, realizacji pomysłu od początku do końca, negocjacji cen itd. To rzeczy, których w dorosłym życiu jest bardzo dużo – zależało mi na pokazaniu, że w szkole dzieci mogą wypróbować wiele spraw z dorosłego świata, żeby później ich tak nie zaskoczył.

**M. Ś.:** Twój nowy pomysł to *Klub Obrońców Czworonogów*, kryminalna seria dla starszych dzieci. Dlaczego tym razem kryminal, jakie ten gatunek daje według ciebie możliwości?

**J. B.:** Zawsze lubiłam kryminały, pomyślałam więc, że spróbuję takiej formy. Kryminal daje szanse wciągnięcia czytelnika w historię, w przygodę, w zagadkę: próbujemy ją rozwiązać, domyślić się, co się stanie, daje nam to jakiś dreszczyk. Uważam, że literatura – szczególnie taka, jaką ja piszę – powinna być rozrywką, przyjemnością. Chcę pobudzić do myślenia logicznego i przekazać coś ważnego, ale chcę też, żeby czytelnik miał z niej frajdę.

**M. Ś.:** Plany pisarskie na przyszłość, formy do wypróbowania?

**J. B.:** Chcę pozostać w nurcie dziecięcym, bo dobrze się w nim czuję. Chodzi mi po głowie historia z elementami nowych technologii, kwestią cyberbezpieczeństwa – to ważny i potrzebny temat, ale nie wiem jeszcze, jak go ubrać w ciekawą historię.

**M. Ś.:** Jaki jest twój warsztat pracy? Czy masz w głowie całą opowieść, zanim zaczniesz pisać, czy kształtuje się ona w trakcie procesu twórczego?

**J. B.:** Zawsze staram się najpierw mieć opowieść poukładaną w głowie, przemyślaną, piszę dokładny konspekt. Problem w tym, że czasem konspekt rozmija się z historią, która nabiera nieco innych kształtów. Na przykład postać, którą zaplanowałam jako niezbyt pozytywną, zaczyna żyć własnym życiem: piszę dialog i nagle postać mówi w nim coś, co otwiera inne możliwości w tekście. Więc za-

planowałam, ale co ja mogę, jeśli postać chce inaczej (*śmiech*)? *Szkola...* zresztą pierwotnie miała być inną historią, z elementami magii, dyrektor Dreamer miał pochodzić z obcej planety. Stworzyłam właściwie kilka wersji tej historii! Ostatecznie zdecydowałam się nie na fantastykę, a na starą dobrą przygodę.

**M. Ś.:** Przygoda jest najważniejsza?

**J. B.:** Tak, jestem fanką właśnie takiej starej dobrej przygody. Mamy współcześnie tyle bodźców, tylu superbohaterów, tyle obcych galaktyk, przeróżnych wykreowanych światów – można się w tym nadmiarze zgubić. Chcę, żeby czytelnik zetknął się z czymś, co ma pewien element niecodziennosci – jak np. w historii Pippi Långstrumpf – ale jednocześnie, żeby to było coś prawdopodobnego – bo może akurat trafi kiedys do szkoły pod żaglami jak Liz? Chcę, żeby wszedł do książki, która pozwoli mu przeżyć przygodę, z którą w jakimś stopniu może się utożsamić.

**M. Ś.:** Wspominasz o Pippi, która właśnie obchodzi 75. urodziny. Można powiedzieć, że to rewolucyjna bohaterka literatury dziecięcej. Jak ją zapamiętałaś?

**J. B.:** Byłam bardzo zauroczona postacią Pippi za każdym razem, gdy o niej czytałam i oglądałam filmy na podstawie książek. Pamiętam, że miała niezwykle umiejętności, niesamowitą siłę fizyczną – potrafiła przecież podnieść konia! A jednocześnie była bardzo wewnętrznie silna, wręcz zawzięta, uparta i nie martwiła się tym, co inni o niej myślą. Robiła wszystko po swojemu, umiała też ośmielić inne dzieci. W jej domu ciągle działo się coś niesamowitego, ale to dlatego, że ze zwykłych codziennych czynności, np. gotowania, potrafiła zrobić zabawę, coś niezwykłego. Dlatego Pippi to bohaterka wyjątkowa.

**M. Ś.:** Dziękuję za rozmowę i Tobie też życzę stworzenia tak wyjątkowych bohaterów.